

# WIADOMOŚCI Z BIBLIOTEKI

PAŹDZIERNIK / LISTOPAD 2003

## W numerze:

- [Od Redakcji / From the Editors](#)
- [Przeznaczenie Ikar – Mateusz Munoz](#)
- [Wydarzenia: Biblioteczny piknik 2003 — Jerzy Kozłowski](#)
- [Snobizmy literackie: Koniec lata — Aleksandra Zajackowski](#)
- [Opinie: Ciężka dola pisarzy — Alina Żerańska](#)
- [Recenzje literackie – Barbara Bernhardt](#)
- [Kino stare i nowe: Wojna domowa - Iza Rutkowska](#)
- [Informacje](#)

## **Przeznaczenie Ikar**

*Myślę, że przeznaczenia nie można zmienić.  
Gdyby pasterz lub rolnik zauważyli tonącego Ikar,  
to i tak niczego by to nie zmieniło.  
Jego przeznaczeniem była śmierć w oceanie.  
Gdyby pasterz albo rolnik odwrócili się i zobaczyli,  
że Ikar spada do wody,  
to i tak nie mogliby mu pomóc.  
Nie było ich przeznaczeniem pomóc Ikarowi.  
Jego śmierć była nieważna i niezauważalna.  
Nie umarł śmiercią bohaterską,  
ale bezsensowną.  
I co pozostawił? Pozostawił po sobie legendę  
i parę piór rozrzuconych po wodzie.  
Ale nie możemy nikogo za to winić, bo takie  
było jego przeznaczenie,  
które musiało się spełnić.*

**Mateusz Munoz**

Uczeń Polskiej Szkoły w Waszyngtonie

## **Od redakcji**

Kolejny numer naszych *Wiadomości* stoi zdecydowanie pod znakiem końca wakacji i początku roku szkolnego. Odejście lata to dla wielu członków naszej Biblioteki doroczny piknik, o którym ze swadą bywalca opowiada jego organizator i uczestnik od zawsze, Jurek Kozłowski. Rozpoczęcie roku szkolnego, które w Oli Zajackowski budzi wspomnienia dziecięcych i młodzieńczych lektur nadobowiązkowych, z których wiele jest na półkach naszej Biblioteki, przypomina nam także o tym, jak wielu jej członków to dzieci i młodzież. To dla nich chcemy zorganizować wkrótce cykl bibliotecznych spotkań z książkami i ich bohaterami. Mamy nadzieję, że możemy liczyć w tej sprawie na pomoc rodziców. Przykładem na to, że nasi najmłodszy członkowie są nie tylko wrażliwi na polską literaturę, ale także potrafią ją tworzyć, jest wiersz Mateusza Munoz, który chcemy Państwu polecić. Być może jego debiut na naszych łamach jest początkiem wielkiej kariery literackiej?

O tym, że zawód pisarza nie jest łatwy a literatura była i jest nadal zjawiskiem nie tylko artystycznym, ale także politycznym i ekonomicznym, pisze Pani Alina Żerańska. Basia Bernhardt recenzuje dla nas bestseller Andrew Nagórskiego, analizując zarówno angielski oryginał, jak i jego polski przekład. Odbiór tych samych utworów poprzez pryzmat różnych kultur i

## **From the Editors**

Our current issue of the News reflects the end of summer and the beginning of the school year. It is the time when many look forward to the annual Polish Library picnic. Jurek Kozłowski, one of our old timers, vividly describes this year's event. The start of the school year inspires Ola Zajackowski to recall her favorite children's books from the non-required reading list. We are reminded that many of our members are children and young people. It is for them that we would like to organize a series of book discussions. We hope that we can count on parents to help us in this endeavor. The poem by Mateusz Munoz shows that our youngest members not only appreciate Polish literature but can also create it. Perhaps his debut on our pages is the start of a great literary career?

Alina Żerańska writes that the craft of writing is not easy. Literature is not only an art form but has always had--and still has--political and economic aspects. Basia Bernhardt reviews for us Andrew Nogorski's bestseller, analyzing the English original and the Polish translation. The appreciation of literary works through the prism of different cultures and languages is a familiar experience to many of us. "Cinema Old and

języków to zjawisko bardzo ciekawe a nam przecież bliskie. O przełamywaniu międzypokoleniowych i międzykulturowych barier z pomocą naszej bibliotecznej filмотeki traktuje *Kino stare i nowe* – zachęcamy do lektury i do dzielenia się z nami podobnymi (a może różnymi?) doświadczeniami. Polecamy też uwadze państwa recenzje anglojęzycznych nabytków Biblioteki o tematyce polskiej autorstwa Jerzego Suboczewskiego.

Witamy w Bibliotece nowych członków, a z żalem żegnamy tych, którzy dotychczas nie odnowili swojego w niej członkostwa. Jak zwykle zachęcamy do współpracy i apelujemy o pomoc w prowadzeniu Biblioteki i współorganizowanych przez nią przedsięwzięć. Każda forma pomocy – tak finansowa jak i w formie bezpośredniej pracy - jest Bibliotece potrzebna i doceniana przez korzystające z niej środowisko.

New” helps us to overcome generational and cultural barriers through the library’s film collection. We encourage you to read this article and share with us some similar--or maybe different--experiences. We would also like to recommend George Suboczewski’s reviews of recent book acquisitions in English on Polish subjects.

We welcome new Polish Library members and bid a reluctant farewell to those who have not renewed their membership. As always we encourage volunteers to help us in running the library and organizing events. Whether the help is in form of financial donations or donations of time--it is much needed and appreciated.



### Wydarzenia: Biblioteczny piknik 2003

*Zaczęli przychodzić już przed południem. Jedni pojedynczo, inni całymi rodzinami. Parkowali samochody w pobliżu i ostentacyjnie wolnym krokiem podchodzili do wejścia...*

Nie, nie, powyższy tekst nie jest fragmentem kiepskiej powieści sensacyjnej. Otrzymałem zadanie opisanie wrażeń z Pikniku Biblioteki Polskiej w Waszyngtonie i tak mi się to jakoś niechętnie napisało. Na szczęście w porę się opamiętałem.

A teraz do dzieła. Piknik odbył się w sobotę, 6 września 2003 w Falls Church. Który to już z kolei Piknik? Do tej kalkulacji możemy wykorzystać **Julka Szuścika**, syna naszych gospodarzy **Ani i Adama**. Julek ma teraz 11 lat, podczas pierwszego Pikniku był dopiero „w drodze” więc to chyba już dwunasty. Pamiętam swoje obawy, gdy organizowaliśmy ten nasz pamiętny pierwszy Piknik. Martwiłem się, że przyjdzie mało osób. Przyszło ponad 100 i taka mniej więcej frekwencja utrzymuje się co rok, dzięki czemu jest to druga pod względem popularności impreza polonijna w Waszyngtonie. Ustępuje tylko Kołodóm, również organizowanym przez Bibliotekę Polską. I jak tu nie być dumnym?

Program tegorocznego Pikniku niewiele się różnił od poprzednich. Główną atrakcją kulinarną była (jakże by inaczej) kielbasa z rusztu, dzieło firmy **Krakus Deli** z Baltimore. Do tego „prawie jak polski” chleb i najróżniejsze domowe sałatki. Domowe wcale nie oznacza, że zostały kupione w sklepie bo miały nalepkę „home made”. O, nie. To były dzieła kilku pań, które poświęciły na ich przygotowanie swój czas i inwencję twórczą. Z powodów technicznych nie udało nam się niestety sprowadzić znanych z dawnych lat polskich napojów chłodzących, takich jak: oranżada w proszku, „napój firmowy” (przez niektórych nazywany rozpuszczoną landrynką), woda sodowa z syfonu, Mazowszanka itp. W związku z tym królowała Coca-Cola i jej różne odmiany. Z pewnym smutkiem zauważyłem, że podane na deser lody zrobiły wśród dzieci większą furorę niż polska kielbasa. Świat się zmienia.

No właśnie, dzieci. Od kiedy Biblioteka Polska nawiązała bliskie kontakty z Polską Szkołą, średnia wieku uczestników Pikniku znacznie się obniżyła. Swą obecnością dzieci wprowadziły dużo niezbędnego na tego typu imprezie zamieszania. W przeciwieństwie do dorosłych nie wstydziły się robić tego, na co miały ochotę: budowały zamki z piasku, kąpały się w jeziorze, bawiły na huśtawce. Dzięki nim nawet gra w siatkówkę nabrała rumieńców. Niżej podpisany w siatkówkę nie grał więc obyło się bez połamanych palców, zwichniętych kończyn i innych kontuzji typowych dla panów w średnim wieku, którym ciągle się wydaje, że są młodzieńcami.

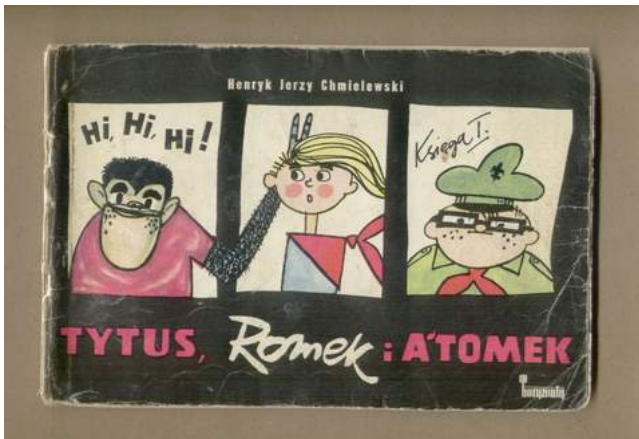
Wszystkim, którym jest żal, że na Pikniku nie byli pragnę ich smutek jeszcze bardziej pogłębić zapraszając do obejrzenia zdjęć z [Pikniku 2003](#).

Jerzy Kozłowski



## Snobizmy Literackie: Koniec lata

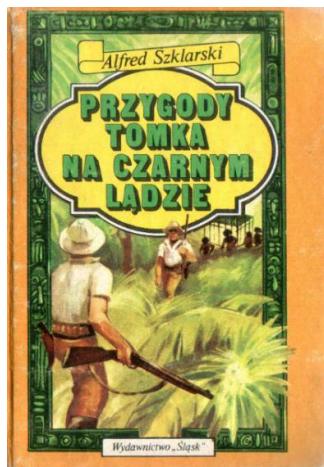
Pędzące po ulicy żółte autobusy szkolne i widok dzieci na przystankach uświadomiły mi, że oto zakończyły się wakacje. Śpiesząc do pracy, podświadomie zaczęłam szukać pod nogami kolczastych łupinek i wysypujących się z nich błyszczących ziarenek kasztanów. W Polsce symbolizowały one rozpoczęcie roku szkolnego i nieuchronnie nadciągającą jesień. Koniec lata nieodparcie nasuwa skojarzenie ze szkolnym mundurkiem i tarczą na rękawie, nieodłącznym workiem na kaptcie, na plecach niezręcznie podskakującym tornistrem. Często na dnie tornistra kusiła niedokończona książka, zaczęta parę dni wcześniej w naiwnej wierze, że uda się ją doczytać zanim pani woźna potrząśnie pękiem kluczy przypominając, że pora zapomnieć o wakacyjnym leniuchowaniu. Najczęściej nie była to książka z obowiązującej listy lektur, która jak wyrzut sumienia leżała całe lato w szufladzie biurka! Książka ukryta w tornistrze była zazwyczaj o wiele ciekawsza od narzuconego programem *Łyska z pokładu Idy*. Ileż to razy zastanawiałam się, czemu Ministerstwo Oświaty nie mogło na liście lektur umieścić jakiegoś bardziej współczesnego tytułu, choćby czegoś z futurystycznej kolekcji Stanisława Lema, czy bliższej naszym codziennym doświadczeniom twórczości Edmunda Niziurskiego, zamiast wiejących nudą pozytywistycznych nowelek traktujących o niedoli dzieci w dziewiętnastym wieku, takich jak *Janko Muzykant*, *Antek*, czy *Nasza Szkap*. Były to książki o dzieciach, ale raczej pisane pod kątem dorosłego czytelnika, który miał być wstrząśnięty trudnymi warunkami życiowymi w świecie, gdzie dziecko stało na najniższym szczeblu społecznych przywilejów. No, ale to dopiero przełom dwudziestego wieku odkrył w młodym człowieku zachłannego na literaturę odbiorcę, adresując właśnie do niego nowy gatunek – literaturę dziecięcą i młodzieżową. Ktoś się wreszcie zorientował, że książki czytane od najmłodszych lat kształtują przyszły smak literacki, pogłębiają przyszły głód intelektualnego poznania, zdobywają przyszłego świadomego odbiorcę, który kiedyś sięgnie po wielowiekowy dorobek światowych klasyków. Mijając stojące na przystanku szkolnego autobusu dziecko z nosem zagłęzionym w książce uśmiechnęłam się z nostalgią i zaczęłam grzebać w pamięci, by przypomnieć sobie swój pierwszy kontakt z literaturą. I wtedy zdałam sobie sprawę, że LITERATURA wcale nie musi być opakowana w sztywne okładki książki. Przecież ona najpierw docierała do nas w formie ustnego przekazu. Nasze mamy transmitowały ją, gdy celując łyżeczką w otwarte buzie recytowały „lata, lata mucha koło Wojtaszka ucha” lub „Opowiem ci bajkę jak kot palił fajkę”. Gdy trawiła nas gorączka, pocieszały nas nobliwo-dydaktycznym wierszykiem - chyba jeszcze z repertuaru naszych babek - „Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku”. Zaś do snu utulały nas koszałki-opałki Marii Konopnickiej. Jeszcze co poniektórzy rodzice porywali się na klasyków, z przejściem deklamując wiersze Mickiewicza o tacie, który nie wracał „ranki i wieczory”, bo pewnikiem napadli na niego zbójcy lub z patosem wykładali historię rzepki (a nawet usiłowali przypomnieć sobie puszkiniowy rosyjski oryginał), które to niezwykle warzywo musiała wyciągać z ziemi cała rodzina, poczynawszy od dziadka a skończywszy na niezwykle pomocnej w takich zajęciach gospodarskich żabce.



Po zdaniu swoistego egzaminu z „zajęć słuchowych” mogliśmy przejść na wyższy stopień wtajemniczenia literackiego otrzymując literaturę w formie drukowanej. Pierwsze książeczki z serii *Poczytaj mi mamo* (tu zdecydowanie prym wiedli: Wanda Chotomska, Bohdan Butenko i Czesław Janczarski) łatwo mieściły się zarówno w małych rączkach jak i w kieszonkach przedszkolnych fartuszków. Wreszcie postacie z bajeczek przybierały kształt i kolor a fantastyczne figurynki bazyliuszka, który zabijał wzrokiem, czy kota w butach biegały po stronicach papieru tylko trochę lepszej klasy niż torby, w które dziś pakujemy zakupy spożywcze. Ale to były nasze pierwsze „własne” książeczki, głównie oparte na

prostyach rymowankach, bajkach, wierszowanych zagadkach. One też służyły do poznawania liter, które składane w sylaby i wyrazy, dawały pierwszy smak sukcesu, gdy sami, bez pomocy dorosłych, otwieraliśmy zakłete drzwi do najpiękniejszych przygód malowanych słowem. A potem był już tylko jeden krok, by sięgnąć po takich klasyków jak Konopnicka (*Co słonko widziało*, *Na jagody*, *O krasnoludkach i sierotce Marysi*), Brzechwa, Makuszyński, Porazińska, Tuwim, Kownacka, Ewa Szemberg-Zarębina. Kogóż z nas nie bawiły wierszowane bajki o szelmostwach lisa Witalisa, kto nie maszerował w grzybowych zastępach pod królewskim dowództwem samego Borowika Prawdziwego na wojnę z natarczywymi muchami, któż nie eksperymentował z onomatopejami zgrabnie naśladując zipanie, ziajanie i sapanie ciężkiej lokomotywy, której nie mogło unieść tysiacy atletów, nawet po skonsumowaniu tysiacy kotletów? Zanim spostrzegliśmy się, byliśmy gotowi by przejść z wierszowanych historyjek w dzieła bardziej obszerne - czytaliśmy legendy i podania, także fikcję historyczną, bawił nas *Szatan z siódmej klasy*, *Bezgrzeszne lata*, *Awantura o Basię* (Makuszyński), zaś dla relaksu odprężaliśmy się od stresów szkolnych nad komiksami Henryka Jerzego Chmielewskiego z serii *Tytus, Romek i A'omek*.

Obok literatury rodzimej na nasze rynki wydawnicze i na nasze domowe półki trafiały obce tłumaczenia, a wśród nich Fizia Pończoszanka (czyli Pipi), indiańskie przygody pióra Karola Maya, fantastyczne postacie dziwnych stworków-Muminków, Kubuś Puchatek, baśnie Andersena. Jeszcze czasem z biblioteczki mamy wyciągaliśmy zbiór *Serce Amicis'a*.



Lata płynęły, coraz rzadziej kusily nas baśniowe krainy smoków, Baba Jaga w domku na kurzej stopce, księżniczki zamienione w łabędzie, żywa woda, żli czarownicy i mówiące zwierzątka. Teraz interesował nas świat rzeczywisty, który na równi fascynował i przerażał pułapkami czekającymi na każdym kroku. Bo oto wiek nastoletni powitał nas nie tylko żenującym trądzikiem, ale i problemami w szkole, w domu i na podwórku, o których ciężko było rozmawiać z rodzicami. No bo cóż oni mogli wiedzieć o natarczywej siostrze, niewyrozumiałym nauczycielu, krzywdzących przewiskach w szkole, przegranym meczu na podwórku, czy nieodwzajemnionym zainteresowaniu kolegą z klasy? Jednak był ktoś kto miał gotową receptę na nasze nastoletnie pobrużdżone wnętrza. Nasi wierni przyjaciele - książki! Uciekaliśmy więc w kojące zacisze lektur, by przekonać się, że konflikt z otoczeniem był wpisany w życiowy scenariusz każdego młodego człowieka, i że nie braliśmy się z życiem za bary całkiem samotnie. Udawaliśmy, że ślęczymy nad szkolnym wypracowaniem, podczas gdy na kolanach pod stołem leżała rozłożona książka

– a to *Do przerwy 0:1*, a to *Kapelusz za 100 tysięcy*. Nocą ukryci pod kołdrą, z latarką w rękę pochłanialiśmy *Tajemnicę Zielonej Pieczęci*, *Córki chcą inaczej*, *Sposób na Alcybiadesa*. Na przerwach doczytywało się *Zapałkę na zakręcie*, a przy obiedzie *Wyspę Złoczyńców*. Wiernie towarzyszyli nam niezawodni przyjaciele – *Tolek Banan*, *Pan Samochodzik*, Tomek (ten z *Czarnego Łądu*), *Majka Skowron*, *Dziewczyna i Chłopak* – czyli ci, co wykręcili hecę na czternaście fajerek. Zaś jedynymi dorosłymi, którzy nas tak naprawdę rozumieli, byli – Niziurski, Ożogowska, Siesicka, Szklarski, Nienacki, Bahdaj – ludzie, których twarze nigdy nie widzieliśmy, ale za to oni wydawali się nas doskonale znać, bo przecież tak mądrze pisali o nas i naszych problemach!

Wiek nastoletni to też wiek głodu poznania. Świat przecież krył tyle tajemnic, które trzeba było odkryć! Intrygowała nas historia własnego kraju (fascynacja Sienkiewiczem), no a poza własnym podwórkiem był jeszcze bezmiar łądów, które trzeba było odwiedzić (reportaże Wańkowicza z podróży amerykańskich, czy Krzysztofa Baranowskiego o samotnych rejsach dookoła świata), nie mówiąc o serii powieści Aliny i Czesława Centkiewiczów, które dały nam przedsmak *The National Geographic*. A do tego ktoś odkrył Kosmos i zaludnił go Kolumbami w błyszczących skafandrach ujeżdżających, jak konie, fantastyczne rakiety o napędzie atomowym (*Solaris*, *Cyberiada*, *Kongres futurologiczny* Lema, *Na srebrnym globie* Żuławskiego), kontynuując zaczęty przez Verne'a gatunek science fiction (zanim nastał *Ijon Tichy*, był przecież *Kapitan Nemo*).

Powoli wyrastaliśmy z „zielonych lat”. Zmieniały się problemy i nasze potrzeby duchowe. Wraz z wiekiem dojrzał w nas smak literacki – byliśmy wreszcie gotowi stawić czoła najwspanialszym pozycjom literatury światowej. Osiągnęliśmy poziom wrażliwości, do której zmierzaliśmy przez lata, od pierwszej rymowanki „patataj, patataj, pojedziemy w piękny kraj” i „tu sroczka kaszkę warzyła”. Teraz zaś stoi przed nami nowe zadanie - zarażenie naszych własnych dzieci zafascynowaniem literaturą. Niech Harry Potter nie będzie jedynym tytułem, który zdobi ich półki – i to tylko ze snobizmu podyktowanego światową popularnością. A może by tak zaprosić wszystkich do wspólnej zabawy literackiej? Amerykańskim dzieciom znana jest zabawa „treasury hunt” – czyli szukanie skarbu. Ale czyż można szukać skarbów w bibliotece - spytacie? Idźcie – sprawdźcie sami! Tylko poczekajcie na mnie, pójdę z wami. Szukać nowych, książkowych przyjaciół.

**Aleksandra Zajackowski**



## Opinie: Ciężka dola pisarzy

Lubię operę. Wzrusza mnie *Cyganeria* Pucciniego, bo mam serce miękkie dla poetów i malarzy. Bywają tacy niepraktyczni! Chcieliby żyć tylko ze swej sztuki, co nie jest realistyczne, chyba że ktoś zyskał dużą popularność. Młodzi pisarze cenią swoją niezależność twórczą i wolny czas, nawet jeśli cierpią biedę. Jednocześnie jednak mają pretensje do żyjących w dostatku i do tych za biurkami urzędów, że nie stwarzają im lepszych warunków bytu.

Warto spojrzeć wstecz. Dobrodziejami artystów świata antycznego byli władcy i bogacze, którzy nie robili tego bezinteresownie. Oczekiwali w zamian poematów, pieśni i oracji chwalebnych ich wspaniałość. W średniowieczu artystów zatrudniał głównie Kościół i przyczynił się do rozkwitu sztuki religijnej. Pierwszym

utworem w języku polskim jest pieśń *Bogurodzica*. Odrodzenie przyniosło wzrost zainteresowania mitologią grecką i rzymską. Mecenasami sztuki byli znów królowie i magnaci. Nie żądali hymnów pochwalnych, ale do nich należał wybór artysty, czyli wspierali sztukę tylko taką, jaka im się spodobała.

Pisarz, pragnący całkowitej wolności twórczej, zawsze potrzebował dodatkowego zarobku. Trudne warunki materialne spowodowały, że Stefan Żeromski nawet nie zdał matury. Wcześniej zaczął pisać, ale nie mógł z tego żyć, więc został guwernerem w dworach szlacheckich i korepetytorem w Nałęczowie. Był przez czas jakiś zastępcą bibliotekarza w Polskim Muzeum Narodowym w Szwajcarii. Rosnąca sława długo nie przynosiła mu stabilizacji materialnej. Znalazł w Polsce zatrudnienie w bibliotece ordynacji Zamoyskich. Dopiero po wydaniu *Popiołów* (1904) mógł poświęcić się całkowicie pracy literackiej. Ale nawet u szczytu powodzenia korzystał z ofiarowanego mu mieszkania w oficynie Zamku Królewskiego w Warszawie.

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) też pracował początkowo jako korepetytor i nawet jako robotnik. Debiutował korespondencjami i humoreskami w pismach także kiepskiej opinii (*Mucha*). Praca felietonisty zapewniła mu jednak po trochu warunki materialne. Dopiero, gdy wszedł głęboko na drogę literacką, starał się zajęcia dziennikarskie ograniczyć. I Henryk Sienkiewicz trudził się dziennikarstwem - popularny i lubiany Litwos, felietonista i korespondent, był nawet współwłaścicielem tygodnika *Niwa*.

Dopiero od czasu narzucenia Polsce w 1945 roku ustroju komunistycznego otoczono pisarzy opieką. Dostawali subsydia, zamówienia i przywileje, na przykład mieszkanie, wyjazdy za granicę, atrakcyjne urlopy, pobyt w luksusowych jak na owe czasy "domach pracy twórczej". Państwo było wydawcą, decydowało, co się drukuje. Pisarze nawet początkujący mieli gwarantowaną egzystencję, czasem skromną, często bardzo dobrą. A zależało to nie tyle od talentu, co gotowości spełnienia oczekiwań władzy partyjnej. W ten sposób utrata roli ludzi wolnych oznaczała uległość ideologiczną i artystyczną. Literatura stała się narzędziem "inżynierii dusz". Zakładanie świetlic, wyjazdy teatrów i literatów na prowincję, masowe nakłady niektórych książek, wydawały się osiągnięciem. Jednak to właśnie budziło rozpacz i zgrozę większości pisarzy a wśród wielu obywateli głęboki niepokój. Nie szło bowiem nawet o cenzurę lecz o agresywne żądanie, by piórem i słowem szerzyć komunizm, powtarzać slogany i wychwalać przywódców.

Niektórzy pisarze początkowo wierzyli, że w danej sytuacji komunizm to jedyna dla Polski droga, na przykład Wisława Szymborska, która mimo to stroniła od wypowiedzi politycznych. Julian Tuwim, socjalista od wczesnej młodości, po powrocie z emigracji napisał kilka wierszy na cześć "Wielkiego Stalina" i... zamilkł na zawsze. Może ze wstydu. Drukowano potem jego znakomity poemat *Kwiaty polskie* - napisany na emigracji. Utrzymywał się z tłumaczeń klasycznej poezji rosyjskiej. Nic więcej sam nie stworzył. Gałczyński, Iwaszkiewicz i nawet ulubieniec dzieci Brzechwa też splamili się wierszami bałwochwalczykami. Niektórzy poddali się całkowicie. Jerzy Putrament pełnił w powojennym zarządzie Związku Literatów funkcję przedstawiciela rządzącej partii. Zajmował się też stale publicystyką komunistyczną.

Przed każdym pisarzem stał trudny wybór. Melchior Wańkowicz nie mógł utrzymać się za granicą ze swej twórczości ani zdobyć się na to, by z niej zrezygnować, więc wrócił do Polski. Tam lawirował, musiał zezwolić na pewne cenzurowanie. Liczono się z nim ze względu na jego wielką popularność i powodziło mu się w kraju świetnie. Maria Dąbrowska użerała się z cenzurą, wołała cenzurować się sama, niż zezwolić na to innym. Liczący się głos krytykujący socrealizm zdobył Julian Przyboś. Nie było to łatwe. Bierut bowiem powiedział: "Nie tylko twórca kształtuje kulturę narodu, ale i naród musi kształtować twórców swej kultury przez uznanie i odrzucenie ich utworów." Każdemu opornemu groziła śmierć zawodowa i utrata źródła egzystencji, tak jak to spotkało np. Pawła Jasienicę. Był to kanon obowiązujący znacznie dłużej niż epoka stalinowska. W ten sposób autorytet literatury sygnalizował społeczeństwu konieczność przyjęcia postawy ugodowej. Udawało się czasem przemyścić zakamuflowaną krytykę systemu. Ukazały się krytyczne opowiadania Kazimierza Brandysa (*Hotel Rzymski*), Marii Dąbrowskiej (*Trzecia jesień*), Jerzego Andrzejewskiego (*Złoty lis*).

Zniewolenie pisarzy utrzymywało się w różnym stopniu prawie do końca rządów PRL'u. Przywileje, jakimi cieszyli się, nie były więc bez ceny, ale dziś wspomina się chętniej dobre strony systemu opieki. Wiele się narzeka na ciężką sytuację ludzi pióra w III Rzeczypospolitej: Spada czytelnictwo! Spadają nakłady! Wydawcy drukują tylko dla zysku! To jest też ucisk ekonomiczny, też żądanie dostosowania się! Nie można żyć ze swej twórczości!

Książka musi obecnie konkurować z filmem, telewizją i komputerem. W krajach wolnego rynku zawsze drukowano prócz arcydzieł i śmieci literackie. Trędowną Mniszkówny lecz też wielki komplet Balzaka w tłumaczeniu Boya Żeleńskiego. Nie tylko Noce i dnie Marii Dąbrowskiej, ale i Dzikuskę Zarzyckiej, którą zaczytywały się pensjonarki. W Polsce i teraz prócz tłumaczeń romansideł i kryminałów amerykańskich ukazują się pięknie wydane klasyki naszej literatury. Nie tylko *Wojna polsko-ruska* Masłowskiej o języku prosto z rynsztoka wywołuje jakieś zachwyty, ale powodzeniem i uznaniem cieszy się bogata seria *A to*

*Polska właśnie* Wydawnictwa Dolnośląskiego. Jednocześnie jednak tematy drażliwe i zakazane w czasach PRL'u są teraz nadal przemilczane przez bardziej promowanych i hojnie nagradzanych pisarzy, biografów, publicystów i historyków (Jerzy Gizella, *Przegląd Polski*, 29 sierpnia br.).

Miłośnicy pióra muszą pogodzić się z koniecznością dodatkowego zarobku. W Stanach Zjednoczonych, jednym z najbogatszych krajów świata, adepci literatury nim osiągną sławę - to nauczyciele, wykładowcy, dziennikarze. Chwytają się różnych zajęć, czasem szukają zatrudnienia w domu wydawniczym, bo może udać im się tą drogą wydrukować książkę, może nawet namówić, by zainwestowano większą gotówkę w reklamę. Reklama bowiem głównie decyduje, która powieść zostanie bestsellerem. Poważniejsze prace wydają też uniwersytety lub subsydują organizacje społeczne, etniczne, religijne, polityczne. Znalezienie wydawcy nigdy i nigdzie nie było łatwe. W Polsce dziś też oficyny wydawnicze zarabiają więcej na popularnych książkach, ale drukują utwory na różnym poziomie dla czytelników o różnych potrzebach.

**Alina Żerańska**

#### Źródła:

*Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*. PWN.

Andrzej Zawada, *Literackie półwiecze*, 1939-1989.

*A to Polska właśnie*. Wydawnictwo Dolnośląskie.



## RECENZJE

### **Stacja końcowa – Wiedeń, Andrew Nagórski, Znak 2003, tłumaczenie Anny Skucińskiej**



Andrew Nagórski – wieloletni korespondent i redaktor magazynu *Newsweek International* – trafił swoim powieściowym debiutem *Last Stop Vienna* na listę amerykańskich bestsellerów. Przeczytałam tę książkę po polsku, w tłumaczeniu Anny Skucińskiej, już od pierwszej strony czując, że powinnam i chciałabym przeczytać ją w oryginale. Dwie wielkie waszyngtońskie księgarnie książki tej nie miały, wreszcie znalazłam jeden jedyny egzemplarz w trzeciej.

Tak jak przypuszczałam, oryginał czytało się inaczej i jak to na ogół (choć nie zawsze) bywa – znacznie lepiej. Nie wystarczająco lepiej jednak, aby wymazać pierwsze odczucie rozczarowania.

Temat jest fascynujący i choć „przerabiany” miliony razy we wszystkich niemal językach świata, nigdy do końca niewyjaśniony i nieprzerwanie intrygujący umysły – chodzi tu bowiem o dojście Hitlera do władzy. Nagórski postanowił wypróbować swych sił w nurcie, który łączy prawdę historyczną z literacką fikcją. Mieszanka potencjalnie pobudzająca wyobraźnię w sposób, jaki większość z nas lubi najbardziej: poprzez pulsujące nieograniczonym „co by było gdyby” spekulacje.

fikcją. Mieszanka potencjalnie pobudzająca wyobraźnię w sposób, jaki większość z nas lubi najbardziej: poprzez pulsujące nieograniczonym „co by było gdyby” spekulacje.

Niestety, choć temat tak zajmujący, książce brakuje czegoś, co można by nazwać duszą. Brakuje dynamiki, elektryczności, temperamentu. A postaciom - psychologicznej głębi, konsekwencji i motywacji. Jest to w zasadzie literatura informacyjna, być może interesująca dla tych, którzy potraktują ją jako źródło informacji. W historyczne sprawozdanie, przekazywane z rzemieślniczą precyzją i dokumentalną wiernością, którego bohaterami są faktyczne postacie historyczne, wpleciona zostaje cieniutka niteczka fikcji literackiej, powiązana z wprowadzoną do „dokumentu” (jakim książka Nagórskiego wydaje się być znacznie bardziej niż powieścią) wymyśloną osobą Karla Neumanna. Elementy erotyczne na ogół zwiększają potencjalne powodzenie każdej książki, więc i tu wątek fikcyjny obraca się w dość dużej mierze wokół seksu, często wrzuconego po prostu dla okras, bez specjalnego wysiłku, aby motywacyjnie powiązać go z resztą powieści.

Książka ożywa tylko na moment i to pod sam jej koniec, gdy autor pozwala sobie na „historyczną fantazję” i każe swemu bohaterowi wykonać udany zamach na Hitlera. Rozdział osiemnasty czyta się zupełnie inaczej niż wszystko, co go poprzedza. Tu rzeczywiście wykazuje się Nagórski pisarskim rozmachem i fantazją twórczą. Następujące potem postscriptum sprowadza nas znów na monotonną równinę.

A przecież opisywane czasy aż pulsowały grozą, atmosferą „wyjątkowości”, fanatyzmu i desperacji. Wydarzenia przełomu lat 20-tych i 30-tych w Niemczech portretowane były w literaturze, kinie i teatrze tyle razy, że od kolejnych prób oczekuje się relacji wnikliwszych, głębiej wyjaśniających podłoże rodzącego się ruchu, rzucających światło na nowe, nieoświetlone dotychczas tereny owych mrocznych psychologicznych mechanizmów, nakręcających psychiki tysięcy Niemców.

To, co zrobił Nagórski to chronologiczne sprawozdanie z procesu tworzenia się ugrupowań

sympatyzujących z Hitlerem i jego nacjonalistycznym programem, z zebrań, przemówień, wymiany korespondencji i konfrontacji. I choć relacja zdawana jest niejako zza kulis, od wewnątrz, autor nie wyjaśnił niczego nowego. Wystarczy wcisnąć guzik Internetu, aby te same informacje tam odnaleźć. Zawiódł nie Nagórski - historyk, ale Nagórski - powieściopisarz, bowiem tym, co odróżnia literaturę piękną od lekcji w podręcznikach historii jest język. Ten podstawowy budulec literatury, narzędzie, które w umiejętnej dłoni potrafi czynić cuda, w ostatecznym rozrachunku jest niewspółmiernie ważniejsze niż sam „temat”.

Wszystkie postacie powieści Nagórskiego sprawiają wrażenie niepokojąco do siebie podobnych, wszystkie sytuacje, włącznie ze scenami bijatyk i konfrontacji oraz wydarzeniami zgoła tragicznymi, prezentowane są w ten sam, pozbawiony dynamiki i często artystycznej finezji sposób. O psychologicznej głębi w ogóle nie może być tu mowy, dlatego trudno czytelnikowi nawiązać kontakt z postaciami powieści i wyrobić sobie wobec nich jakikolwiek stosunek emocjonalny. Nawet postać Hitlera, zajmująca czołowe miejsce w powieści, pozostaje psychologicznie nieożywiona. Brakuje tu tzw. głębszego spojrzenia na przyczyny jego popularności wśród tak ogromnej części społeczeństwa niemieckiego, prób wyjaśnienia jego charyzmatu i potęgi. Najbardziej "kolorowa" postać powieści, siostrzenica Hitlera, a jednocześnie ofiara jego seksualnych perwersji – Geli – również sprawia wrażenie niedokończonyj i nie całkiem prawdziwej.

Tło, na którym rozgrywa się akcja powieści jest ledwo naszkicowane, na dodatek słownictwem tak pozbawionym kolorytu i energetycznego ładunku, że sprawia wrażenie rozmytego. Za mało tu opisów, które zbudowałyby atmosferę, uchwyciły choćby przelotnie Zeitgeist czy wielowymiarowość opisywanych wydarzeń. Książka bardziej przypomina ślizganie się po powierzchni owych czasów niż nurkowanie w ich głębiach.

Czytana w oryginale sprawia jednak pewną przyjemność. Może dlatego, że czyta się ją łatwo i szybko. I nie twierdę, że nie warto poświęcić jej wczesnojesiennego weekendu - jeśli nie dla przeżyć artystycznych to choćby edukacyjnych.

Tłumaczenie pani Skucińskiej jest językowo bardzo poprawne, ale to właśnie między innymi sprawia, że jest bezgranicznie nużące, mdłe, a chwilami po prostu drażniące. Język odarty jest niemal całkowicie z dramatyzmu sytuacji, które ma opisywać. Na każdej niemal stronie przekładu znaleźć można takie zdania czy wyrażenia jak: „pędziłem przed siebie”, „zdumiałem się”, „nieznośna pannica z ciebie”, „zachnęła się”, „zjeżyła się” albo: (po udanym stosunku płciowym): „nie posiadałem się z radości” lub (w piwiarni): „Hej, co za wspaniałe miejsce” – z którymi tak trudno utożsamić młodych gniewnych bohaterów powieści. Emocjonalna statyczność i bezwyrazowość zdań typu: „Pragnąłem nadal spacerować i zwiedzać, ale koledzy mieli inne zamiary” uderza jako charakterystyczna dla przykładów do uczenia gramatyki języka polskiego, zdania te są jednak niekoniecznie przekonujące, kiedy wygłasza je fanatycznie oddany sprawie dwudziestoletni faszystowski bojówkarz.

**Barbara Bernhardt**



## **Kino Stare i Nowe: *Wojna Domowa***



Zapewne niektórzy z państwa jeszcze pamiętają bardzo popularny w Polsce w latach 60-tych i 70-tych cykl telewizyjny *W Starym Kinie*. Zazwyczaj w niedzielę po południu, sympatycznie wyglądający Pan, o ile pamiętam Stanisław Janicki, wygłaszał wprowadzenie do filmu, który za chwilę mieliśmy obejrzeć. Filmy były na ogół polskie, zawsze przedwojenne i czarno-białe. Występowali w nich aktorzy, których wszyscy znali i kochali – Adolf Dymśa, Mieczysława Ćwiklińska, Elżbieta Barszczewska. Zwykle były to komedie, ale zdarzały się też filmy tragiczne i ponure, jak *Znachor*. Bez względu jednak na to jaka była tematyka i atmosfera filmu zawsze miały one te same cechy – aktorzy mówili z tchnącym myszką akcentem, grali swoje postaci w sposób nieco przerysowany a sprawy, które przeżywaliśmy wraz z nimi na szklanym ekranie, wydawały się dziwnie odległe od tego, czym żyliśmy na codzień. Do dziś pamiętam, że *W Starym Kinie* było podróżą w bajkowy, bezpieczny świat, w którym ludzkie problemy jakkolwiek uniwersalne, pokazane były w sposób ciepły i nieagresywny.

Ponieważ kinoteka filmów dla dzieci i młodzieży w języku polskim jest raczej uboga a wspólne oglądanie filmów wydaje się być najłatwiejszym sposobem na uczenie ich ojczystego języka, postanowiłam skorzystać z doświadczeń *W Starym Kinie* i stworzyć takie na użytek mojej dziewięcioletniej córki. Rzecz ciekawa, że pomysł zupełnie nie chwycił, kiedy próbowałam oglądać z nią *Awanturę o Basię* – Ula zdawała się nie rozumieć słownictwa, którym posługiwali się bohaterowie, a przejawy biedy, z jaką musieli

się oni zmagać, były dla niej zupełnie nieczytelne. Między życiowymi doświadczeniami Uli a tematyką filmu istniała bariera zbyt wielu pokoleń, aby mogła ją ona łatwo przekroczyć.

Z podobną reakcją z jej strony spotkały się też komedie z tego okresu – Ada to nie wypada, ze swoją obyczajowością pańienek z “dobrze wychowanych domów”, okazała się dla Uli zupełnie niezrozumiała. Kiedy się nad tym dzisiaj zastanawiam, zdumiewa mnie, że mimo ustrojowych i kulturowych przemian jeszcze pokolenie urodzonych w latach 60-tych i 70-tych potrafiło podzielać zgorzniecie bywaniem zamożnej z domu panny Ady na wiejskich potańcówkach lub spędzeniem przez nią wieczoru w kabarecie.

Ponieważ nie mam zwyczaju łatwo się poddawać, postanowiłam odmłodzić nieco moje „stare kino” i obejrzeć z Ulą *Wojnę domową*. Dla tych, którzy nie pamiętają, przypomnę, że jest to serial w reżyserii Jerzego Gruzy, przygotowany dla polskiej telewizji na początku lat 60-tych. W filmach – jest ich w naszej Bibliotece 12 (4 kasety) - występują Alina Janowska, Irena Kwiatkowska, Andrzej Szczepkowski, Kazimierz Rudzki, Jarema Stępowski. Kolejne, 40-minutowe odcinki filmu opowiadają o drobnych problemach życia rodzinnego w realiach ówczesnej Polski. Spotykamy w nich hydraulików, którzy terroryzują mieszkańców domu rozbijając niepotrzebnie ściany, smutnego pana, który zbiera suchy chleb podobno dla konia, słuchamy o problemach w szkole, której nauczyciele, podobnie jak całe społeczeństwo, uwikłani są w dziwaczne wymagania systemu, w jakim przyszło im funkcjonować.

Tym razem projekcja odniosła sukces a każdy z odcinków filmu został obejrzany wielokrotnie. Symptomatyczne jest zapewne, iż najbardziej rozbawił Ulę odcinek o przyjeżdżającym do Warszawy angielskim krewnym, z którym bohaterowie serialu usiłują mówić po angielsku, i wobec którego mają różne zabawne wyobrażenia i oczekiwania. Zupełnie jak krewni Uli, których co roku spotyka w Polsce w czasie wakacji.

Nasze domowe „stare kino” stało się wkrótce nie tylko formą spędzania czasu, ale okazało się być znakomitą zaczątkiem do dyskusji o tym, co się w Polsce zmieniło i dlaczego, jak wpływa to na wartości, które wydają nam się w życiu ważne, dlaczego czasami tak „dziwnie” zachowujemy się odwiedzając amerykańską szkołę naszej córki. W sposób bardzo ciepły i uczciwy – choć komicznie karykaturalny - Gruza i jego współpracownicy pokazują też niewyidealizowany świat życia rodzinnego, w którym rodzice się czasami kłócą, a wobec dzieci stosuje się kary. Myślę, że dzięki *Wojnie domowej* Ula będzie dla nas, polskich rodziców, bardziej wyrozumiała. Już nie mogę się doczekać, kiedy w trakcie naszych rodzinnych spotkań przed telewizorem zaczniemy oglądać *Czterdziestolatka*, *Dom*, może *Drogę*.

Iza Rutkowska



## Informacje

### Z ostatniej chwili



Tegoroczną nagrodę **Nike** – najbardziej prestiżową nagrodę literacką w Polsce – zdobył tom wierszy **Jarosława Marka Rymkiewicza** *Zachód słońca w Milanówku*. W trakcie uroczystości wręczenia nagrody odczytano list poety, którego fragmenty cytujemy za *Gazetą Wyborczą*: „[...] Literatura nikomu i niczemu nie służy, służyć nie powinna i służyć nie może ani państwu, ani

społeczeństwu, ani politykom, ani gazetom, ani żadnej władzy. Nic ją nie obchodzi co sądzi o niej społeczeństwo, co sądzi państwo, co sądzi telewizja, co sądzą politycy i partie. Literatura niczego też nie potrzebuje ani zaszczytów, ani pieniędzy, ani łapówek, ani orderów, ani faworów władzy. Literatura nie jest żebrakiem, o nic nie prosi i nie czeka na wsparcie. Potrzebuje tylko czytelników. Istnieje dlatego, że oni istnieją.”

Laureatką plebiscytu publiczności została **Dorota Masłowska**.